



# Kapitalizm

ROMAN PAWŁOWSKI

Mówi się, że teatr nie nadąża za rzeczywistością. Tymczasem na temat ustroju, w którym żyjemy, światowa dramaturgia powiedziała już wszystko albo prawie wszystko. Weźcie pierwszą z brzegu sztukę amerykańską, powiedzmy „Śmierć komiwojażera” Millera. Jeszcze dziesięć lat temu komiwojażer istniał jedynie jako hasło w „Słowniku wyrazów obcych” Władysława Kopalińskiego („komiwojażer, fr. commis-voyageur – podróżujący agent handlowy, reprezentant firmy, dla której zbiera zamówienia”). W epoce zaopatrzeniowców i kierowników na delegacjach komiwojażer wydawał się jakimś egzotycznym ptakiem, w związku z czym sztuka miała charakter baśni przyrodniczej. Tymczasem dzisiaj tysiące ludzi żyje ze sprzedaży obnośnej i obwoźnej, w niejednej walizce kryją się próbki towarów i chociaż zawód ten ma inną nazwę, to jego realne istnienie pomaga uświadomić sobie, na czym polega klęska tytułowego bohatera.

Można przytoczyć setki podobnych przykładów sztuk, które ukazują się dzisiaj z nowej strony, od Ibsena i Cechowa, z ich obsesją życia na kredyt, po Williamsa i O’Neilla z ich bankrutami. Taką sztuką jest komedia Edwarda Albee’go „Wszystko w ogrodzie”, którą wystawił niedawno w Teatrze Współczesnym Zbigniew Zapasiewicz. Jej problemem jest życie ponad stan: ambitna żona, której potrzeb finansowych nie jest w stanie zaspokoić mąż, zostaje w tajemnicy luksusową prostytutką. Jestem szalenie ciekaw, co oznaczało pojęcie „życie ponad stan” w roku 1970, kiedy miała miejsce polska prapremiera sztuki. Obawiam się, że już sam barek w domu bohaterów, pełen zagranicznych alkoholi, był niedoścignionym wzorem konsumpcji dla polskiego widza w roku 1970. Możliwe, że zamiast współczuć bohaterom, chciałby on zamienić się z nimi na miejsca. Marzenie głównego bohatera, aby posiadać maszynę do strzyżenia trawy, musiało być niezłym wyzwaniem dla widzów, z których mało kto posiadał sam trawnik.

Naturalnie samo pojawienie się sklepów z luksusowymi alkoholami i kosiarkami do trawy nie wystarczyłoby, abym wychodził ze sztuki „Wszystko w ogrodzie” oczarowany. Tym, co komedię podnosi o kilka piętér, jest aktorstwo. Wyobraźcie sobie faceta w przepoconej koszuli, który po pracy w ogrodzie zakłada sobie na głowę ścierkę zwilżoną uprzednio wodą z syfonu, faceta, który marzy tylko o jednym, aby wypić setę i w cieniu dotrzeć do końca dnia, a zobaczycie Janusza R. Nowickiego w roli Richarda. Wyobraźcie sobie młodą i apetyczną jędrę, która stoi nad nim i suszy mu głowę, że znów nie odłożył na miejsce paczki papierosów z kuponem zniżkowym, a zobaczycie Olgę Sawicką w roli Jenny. Tych dwoje prowadzi przez dwie godziny fascynującą grę w półprawdy i złudzenia aż do momentu, gdy cała prawda wychodzi na jaw. Nie zapomnę, jak Nowicki siada wtedy w fotelu i po cichu powtarza słowo „kurwa”, dusząc w sobie wściekłość. Ani jak Sawickiej rzędzie mina, gdy podczas garden party (już chyba nie muszę tłumaczyć tego terminu) okazuje się, że kupiła niewłaściwy rodzaj kawioru i zamiast być bogatą, w oczach swoich gości jest tylko nowobogacką.

Fakt, że jedyną fałszywą sceną w spektaklu jest finał (trudno bowiem uznać, aby po takiej historii wszystko wróciło do normy), składam na karb młodego doświadczenia z kapitalizmem. Kto wie, do jakiego finału on nas zaprowadzi.